Rozmaitości

DNIA 17. STYCZNIA Ner 3. 1835 ROKU.

PAŁAC INKWIZYCYI W WALLADOLID.

(POWIEŚĆ.)

(Ciąg dalszy.)

Z takiéj wysokości i z takim pędem w dno czarnéj nocy lecąc nagle Armand, postradał smysły. Skoro cokolwiek przytomność odzyskał; i co się z nim stało przypomnieniem nawiódł, śledził rękami w około siebie i uczuł, że się na kamiennéj, wilgocią ociekłéj znajdował posadzce. Podniósł się i stał przez długą chwilę w martwém osłupieniu. Cisza grobowa panowała nieprzerwanie; okropna ciemność wiązała mu oczy. Nakoniec, zwolna, ostrożnie ruszył się z miéjsca, ale w którą bądź stronę, wstecz albo naprzód, powiódł kroki; wszędzie trącał o mury, z których wilgoć spadała kroplami. Już wątpić nie mógł, że go zamykają ściany podziemnego więzienia. Ta myśl wstrzęsła nim mimowolnie. Trwoga śmiertelna przeniknęła mu serce, a zimny dreszcz przejął na wskróś członki jego. Zachwiał się i upadł omdlony przy ścianie.

W tém przesileniu zostawał czas niemały. W niemej rozpaczy, od najokropniéjszych pomysłów nagabywany, nie zdołał w zwątpiałéj duszy ani jednego, acz najbledszego rozwidnić promyka nadziei. Bolesno, jakby drapieżne zwiérzę, napadała go nieustannie ta myśl dręcząca, że jest wskazany śród mąk najsroższych stać się pastwą wściekłego głodu. Tą okropną miotany ostatecznością już sobie zamierzył szpadą, którą miał przy boku, życie odebrać; gdy razem, jakby błyskawica, przenika go przypomnienie, że w pugilaresie, który miał przy sobie, prócz pistoletu i narzędzia do wzniecania ognia, był także mały zwitek woskowego stoczka.

»To mi przynajmniéj da sposób poznać miejsce, w którém zostaję,« porwawszy się z ziemi zawołał Armand, i już się ze zwyczajną śmiałością odważnego młodzieńca, jak i wrodzoną lekkomyślnością wesołego Francuza, oddał nadziei. »Ktokolwiek piérwszy wejdzie do mojego więzienia, padnie trupem u nóg moich; a ja z pistoletem i szpadą w ręku, wywalczę sobie drogę na wolność.«

W kilku chwilach błysnęło światło; zażegł się stoczek. Blada łuna oświeciła ciemnicę. Armand spojrzał w około siebie. Jego więzienie nie składało się z jednego, ale z wielu sklepistych podziemiów; żadne nie miało okna, a drzwi to jedno tylko, w którém zostawał. Oglądał jedno więzienie po drugiém, i w każdém znalazł dziwne sprzety i narzędzia. Pośród gmachu, przypiérającego do więzienia Armanda, stał długi kirem osłonięty stół, dwunastą czarnémi krzesłami otoczony. Na żelaznych, głęboko w mur wpuszczonych śrubach, wisiały ciężkie, żelazne pierścienie; z nich toczyły się łańcuchy, do których przymocowane były różnego kształtu okowy. Ze sklepienia szły żelazne haki, trzymające na długich powrozach drewniane kluby. Nigdyby sobie ich przeznaczenia nie mógł Armand wyjaśnić, gdyby tam innych, daleko okropniejszych nie był ujrzał narzędzi. Ze wstrętem odwrócił twarz swoję od tego szkaradnego widoku; a jego postanowienie — piérwszemu, którýby wszedł do więzienia, w piersiach szpadę utopić, i w jakibądźkolwiek sposób życie lub śmierć sobie wywalczyć — było tém mocniéj ustalone. Jeszcze mu jeden poboczny gmach do przejrzenia pozostał; wszedł do niego. Z początku zdawał się mu być pustym, lecz jakże był zdumiony, gdy w jego głębi

spostrzegł postać człowieczą. Zaledwo tam okiem rzucił, już, dobywszy szpady, poskoczył ku niej piorunem, i — stanął przed drewnianym posągiem.

Nie mógł się pojąć z zadziwienia, widząc przed sobą kolosalnéj postaci dziewicę z otwartémi ramionami, różnobarwnie pamalowaną, tuż przy saméj ścianie umieszczoną. Nie byłoto dzieło misternéj sztuki, ale dość kształtnie wyrobione. Powodu, dla czegoby ten posąg w najgłębszém więzieniu był postawiony; nie mógł sobie Armand w żaden sposób objaśnić; ale wkrótce ta zagadka sama się rozwiązała, skoro bliżej przystąpił i ujrzał niezliczone mnóstwo drobnych błyszczących się gwiazdek, któremi od piersi aż do nóg zasiane były szaty téj postaci, a mianowicie wewnętrzna strona jéj wzniesionych, széroko rozpostartych ramion. Byłyto świécące się ostrza sztyletów, szeregiem w drzewo nabitych. Z jakimże przestrachem nie odskoczył, gdy niebacznie na małéj deszczułce stanął, a wewnątrz figury ozwał się skrzyp chrapliwy, i postać ramionami robić zaczęła. Widząc że postać, mająca széroko rozwarte ramiona, razem je, jakby w nie kogo ująwszy, z okropnym trzaskiem do piersi przywarła; mimowolnie wykrzyknął: »Szkaradnie! szkaradnie! Żywcem mię ci zbójcy nie dostaną!«

Przerażon tym widokiem powrócił do piérwszego gmachu. Stoczek już dogorywał, był on dla Armanda drogim klejnotem; oszczędzać go musiał. Obejrzawszy piérwéj dobrze położenie miejsca, stanął przy samym wchodzie, aby piérwszemu, którýby wstąpił; wraz z życiem i klucze do więzienia wydarł, lecz skoro światło zagasił, zaraz i w duszy jego okropne myśli powstawać zaczęły. Z bolesnym okrzykiem zawołał: »Któż wié! czy się dla mnie kiedy otworzą drzwi tego więzienia?!« To zapytanie powtarzając często w zwątpiałéj duszy, oddał się najboleśniéjszemu udręczeniu; nakoniec wnosząc, że już późno w noc było; rzucił się w rozpaczy na ziemię.

W czasie tego zdarzenia panował ruch wielki w zamku Walladolid. Tu miał cesarz główną kwaterę. Chociaż już noc płaszcz ciemny rozścieliła; jasnością dnia promieniła się cała okolica. Przed zamkiem koczował batalijon staréj gwardyi. Z potężnych, na ulicznym bruku rozłożonych ogniów, wysoko buchały dzikie płomienie, i wysyłały pod czysty strop gwiazdzistego nieba, olbrzymie kłęby czarnego dymu. Ordynanse z wszystkich pułków jazdy, najrozmaitszéj broni, zarzuciwszy tręzle na ramię, rozwodziły hałas głośną rozmową. Tylko dwaj grenadyjerowie *á cheval*, na karych koniach, w ciemnych niedźwiedzich kołpakach, z długim, prostym orężem w pięści, obok dwóch pieszych na straży będących, stali jakby dwa nieme posągi, przy samych drzwiach pałacu. I w niższém piątrze domu nie mniejsza panowała wrzawa.

Oficérowie z raportami, paziowie — sami dobrani, pięknego wzrostu młodzieńcy — lokaje w ciemno-zielonéj, złotem galonowanéj barwie, gońcy kurzawą sprószeni, z kaletami skórzanémi na piersiach; biegli i na dół i w górę po schodach. Sam tylko oficér straży z komenderującym szefem szwadronu: *Escadron du service*, w głębokiéj rozmowie zatopieni, przechadzali się dużym krokiem pod przysionkiem pałacu, i tylko piérwszy, gdy już hałas za wiele brał górę, gniewem uniesiony zawołał czasem: »*Silence, s'il vous plait!*« Przez drzwi otworem stojące, widać było grenadyjerów straży, w zupełnéj zbroi pokotem leżących częścią na sofach, atłasem pokrytych, częścią na tafłowéj, słomą zaścielonéj posadzce, wygodnie się wyciągających.

W pokojach wyższego piątra, z których większa część oficérami niższego stopnia wszelkiéj broni natłoczona była; już mniejszy zgiełk dawał się słyszeć, a ku audijencijonalnéj sali coraz więcéj ustając, w ciche nareszcie zmieniał się szeptanie. Wszystkich oczy zwrócone były na drzwi, przed któremi stał odźwierny *(huissier)*, a które wtedy się tylko otwiérały, gdy szambelan cesarza, hrabia Turenne, jednego z marszałków lub jenerałów do gabinetu monarchy wprowadzić wyszedł. Całe zgromadzenie w sali posłuchalnéj stało szérokiem półkołem. Małe tylko grono odłączyło się na stronę, pośrodku którego widać było książęcia Istryi coś cichym głosem, ale bardzo żywym ruchem, kilku jenerałom jazdy opowiadającego. Wielką część pół-koła zabiérała liczna deputacyja magistratu z Walladolid, bardzo pokornie, przy dumnym orszaku postawy wojskowéj, wyglądająca; a do któréj sędziwego już wieku oficér, w pułkownikowskich szlifach — komendant placu — czasem

tylko jakie słowo przemówił, i wtomiast, przy nizkich pokłonach, same wzruszenia ramion w odpowiedź odbiérał. Więcéj godziny w natężoném oczekiwaniu stało całe zgromadzenie; gdy szambelan z gabinetu pana swego wyszedłszy, odźwiérnemu dał skinienie, a ten: »*l'Empereur!*« wymówiwszy, podwoje na oścież otworzył. Wielka panowała cichość. Cesarz wszedł do sali. Za nim król Józef, jenerał Kellermann, i więcéj marszałków i jenerałów. Wszystko, co tylko stało w sali, pokłoniło się nizko.

Napoleon zwrócił się do marszałka Bessieres i mówił przez długą chwilę z tym sławnym dowódzcą jazdy, który cały wyprężony, ust nie otworzywszy, słuchał słów swego pana. Twarz cesarza miała dzisiaj wyraz, który dla umiejących w niéj czytać, był znakiem przepowiadającym burzę. A chociaż był czas taki, w którym ludzie, nie mający sposobności przypatrzyć się z blizka Napoleonowi, wiele o jego ponurym wzroku, i nieruchliwéj, kruścowéj twarzy opowiadać umieli; możnaby przecież z pewnością powiedzieć, że mało było takich w świecie, na którychby licu tak jasno objawiały się uczucia, jak na licu cesarza. Rys twarzy jego był regularny, spokojny, pogodny, jaki nam się na antykach w twarzy wielkich mężów widzieć daje. Jeżeli mówił do żołniérzy — szczególnie do prostych, do podoficérów, lub oficérów niższego stopnia — natenczas jego ciemno-siwe oko promieniło się błogą dobrocią; ujmujący uśmiech igrał na jego wązkich, ostro-wciętych ustach; ale kiedy dusza tego nadzwyczajnego człowieka przez niemiłe uczucia wzruszoną była, a konieczne okoliczności ukrywać je kazały, wtedy bróździło się w marszczki jego czoło, oko patrzyło ponuro, a uśmiech miał w sobie zaiste owo szydercze znamię, które przeciwnicy jego za przyrodzone uznawali. W takich przypadkach, przy najmniéjszéj okoliczności, objawiała się gromna burza, tém straszniéjszego stopnia dochodząca, im dłużéj trwał przymus, który ją wstrzymywał.

I dzisiaj duszę cesarza zdawały się jakieś nieprzyjemne wzruszać uczucia; bo to wyraźnie na twarzy jego czytać można było. Mówiąc z jenerałem Bessieres, powiódł kilkakrotnie okiem po zgromadzeniu, a potém postąpił żywo z założonémi rękami ku deputacyi magistratu Walladolid:

»Dla czegoż nie jesteście ubrani uroczyście?« zapytał surowym głosem; »tu oto stoi wasz król!« wskazując na Józefa. »Dla czego nie stajecie przed nim, jak wam przynależy? O, wiém ja o tém! Jestto rodzaj protestacii; jestto potajemny opór; ale ja was porządku nauczę! Ja! Poznacie mię! — Ha! Gdybyto był książę Asturyi, wyszlibyście z chorągwiami, z głośnym okrzykiem radości na przeciw niego!...

»*Sire! Sire!*« jąknął jeden z deputowanych.

»Milcz wćpan!« zawołał cesarz. »Wyto jesteście, którzy gmin podburzacie! Czy rozumiecie, że ja o tém nie wiém? Mylicie się. Wiém ja o waszych potajemnych zabiegach, już ja was — ale cóż to jest? co znaczy ten hałas w przedpokoju służby? Pułkowniku Dumont, hrabio Turenne! dowiédzcie się wćpanowie, co to ma znaczyć?« — W saméjże istocie słychać było w jednym przedpokoju tak dalece głośno rozmawiających, że to cesarza uważnym uczynić musiało; byłoto albowiem bardzo nadzwyczajną rzeczą; ażeby sobie kto tyle śmiałości mógł pozwolić. Wszystkich oczy zwróciły się natychmiast ku drzwiom. Pułkownik Dumont właśnie powracał.

»Kapitan z linii jest w przedpokoju!« rzekł pułkownik Dumont, »kapitan Vautré, z sześćdziesiątego, jak mi się zdaje; chce z Waszą Cesarską Mością mówić koniecznie. Coś bardzo ważnego —«

»Wpuścić go!« rzekł cesarz z pośpiechem. »Vautré nie przychodzi daremnie.«

Na skinienie ordynansowego oficéra wszedł Vautré do sali z papiérem w ręku, i pospieszył prosto do cesarza.

»*Sire!*« zawołał; »Armand — Armand de Sacy —«

»I cóż się z nim stało?« rzekł cesarz, widząc że Vautré pośpiechem zadyszały domówić nie mógł.

»*Ma foi! Sire!* ja tego nie wiém!« odpowiedział kapitan. »Jest zamordowany, albo skrycie pojmany i uwięziony! — Ten list —«

Cesarz, nie powiedziawszy i słowa, wziął list z ręki kapitana. Był on w języku francuzkim, a jak się zdawało ręką kobiéty pisany.

»Mój panie!« tak opiéwał; »Porucznik Ar»mand de Sacy nazywał wćpana często swo»im przyjacielem. Do wćpana udaję się »w mojéj największéj trwodze i donoszę: że

»pan de Sacy był do pałacu inkwizycii na »rozmowę zaproszony, ale ztamtąd nie wrócił. Pewne, niezawodne znaki dają mi bardzo ważny pochop domysłu, że jeżeli tam »nie jest zamordowany, więc go w jakiém »tajném, głębokiém więzieniu na zawsze zamknięto. Spiesz się wćpan na jego ratunek, »jeżeli go jeszcze ratować można; tego sobie »życzy, i oto wćpana na wszystkie świętości »zaklina ktoś, komu życie pana de Sacy »nie jest obojętne.«

»Któż ci go przyniósł, kapitanie?« zapytał żywo cesarz, i ścisnął list mocno w ręku.

»Oddano go w mojéj niebytności,« odpowiedział Vautré; »skorom go przeczytał, pobiegłem czém prędzéj do pomieszkania Armanda. Hrabina Montenero, u któréj miał kwatérę, i któréj dom do pałacu inkwizycii przypiéra, odjechała ze swoją siostrzenicą skoro noc zapadła. Gniazdo próżne; Armanda znaleźć nie można.«

Tu już cesarz, nie mogąc wstrzymać gniéwu, zwrócił się ku deputacyi miasta i surowym zawołał głosem: »To wasze dzieło! Jeden z moich oficérów zniknął; jak się domyślać wypada, jest zamordowany! Ale waszémi głowami odpowiécie mi za życie jego! Wyto jesteście, wy jego mordercy! a przynajmniéj powodem ku temu. *La corde au cou! voilá ce, que vous meritez scélérats!**) Wy rozumiécie — mordercy! którémi jesteście! że wam tę czynność płazem puszczę; o! mylicie się bardzo: moja dobroć już się wyczerpała. Pułkowniku Partarieux Lafosse! Wćpan jesteś komendantem placu! uwięź mi tych ludzi! każ ich zaraz pod straż zaprowadzić! *á la grande garde!* Czy mię wćpan rozumiész? Nie wpuszczać do nich nikogo! będą zakładnikami mojémi! Wćpan jenerale Hellermann każesz natychmiast dwom eskadronom strzelców wsiąść na koń i patrolować po mieście. Nie dopuszczać zbiegowiska! Potém weźmiész wćpan grenadyjerów z sześćdziesiątego pułku i saperów z całéj dywizyi. Jedna kompanija otoczy pałac inkwizycyi; weźmie każdego, któryby z niego wyszedł; druga rozbieży się po dwóch lub trzech ludzi po całym gmachu i przetrzęsie wszystkie izby, wszystkie kryjówki, od strychu aż do sklepień podziemnych. Każ wćpan otworzyć, albo saperom wyrąbać wszystkie drzwi pałacu. Jeżeli nic nie znajdą, niech dobosze uderzą w bębny, a na chwilę przestawszy, niech słuchają, czyli czego nie usłyszą. Niech to powtórzą po wszystkich izbach, korytarzach, sklepieniach, a jeżeli jeszcze nic nie odkryją; każ wćpan wszystkie poprzebijać ściany, wszystkie podziemne przerąbać sklepy; gdzie się jaki mur znajdzie, wyłamać. Ja muszę porucznika Sacy miéć żywcem, albo umarłym! Wćpan kapitanie Vautré będziesz dowodził grenadyjerami; a wćpan jenerale Hellermann masz mi tam być osobiście, abyś mi dał sprawę o skutku. Skoro dzień rozświta« — tu się znowu zwrócił cesarz do komendanta placu— »zażądasz wćpan od municypalności budólca; każesz postawić szubienicę przy każdéj bramie miasta jednę; na *Plaza major* także! Za każdego Francuza, którego w Walladolid zamordują« — tu wyciągnął cesarz ramię ku członkom *Ayuntamiento* (magistratu), a wzrok jego był straszny — »j e d e n z w a s b ę d z i e w i s i a ł! A teraz precz! — —«

Jeszcze godzina nie minęła, a już w pałacu inkwizycyi snuły się roje żołniérza francuzkiego. Po wszystkich izbach gorzały pochodnie; po wszystkich krużgankach rozlegał się głos grenadyjerów; ze wszystkich kątów słychać było trzask drzwi wyłamywanych, a kapitan Vautré, potem zlany, gonił w dół i w górę po wschodach. Jenerał Hellermann z adjutantem przy boku, przechadzał się po refektarzu i spojrzał czasem na orszak brodatych saperów, którzy na błyszczących toporach oparci, zdawali się niecierpliwie czekać rozkazu swojego sławnego, kochanego wodza. W tém drzwi się otworzyły, a kapitan Vautré wbiegł zasmucony.

»Ani śladu, mój jenerale!« zawołał z żalem. »Już trzy więzienia wyłamano, a przecież ani śladu!«

»Więc teraz każemy uderzyć w tarabany!« odpowiedział spokojnie jenerał. »Niech po wszystkich częściach budowli zagrzmi marsz jeneralny. Niech się w przestankach odezwą rogi woltyżerów. Jeżeli pan de Sacy jeszcze żyje, odpowié nam zapewnie na tak głośne wezwanie. Trzydzieści i sześć bębnów i rogów dwanaście; powinnyby w téj staréj, szérokiéj budowli gromem odgłosu, samych nawet umarłych z grobu wskrzesić.«

*) Własne słowa cesarza.

Vautré wybiegł pędem z sali. W kilku chwilach wstrzęsła się cała budowla. Grzmot jeneralnego marszu złamał się z okropnym hukiem o jéj wysokie sklepienia i rozległ się széroko po jéj pustych gmachach; przez drzące, hukiem i łoskotem rozkołysane powietrze przedziérał się ostro-piskliwy głos rogów woltyżerskich. Jenerał nie rzekł za wiele, byłto hałas tak okropnie łomotny, iżby nawet samych umarłych z grobu wywołać zdołał. Huk ten trwał przez ćwierć godziny, a potém wszystko wraz ucichło; w tém wbiega podoficér do izby.

»Kapitan rozkazał zameldować, że pod posadzką jednéj dużéj komnaty, usłyszano słaby odgłos wystrzału z pistoletu!« zaraportował przybiegły.

«Sapery, naprzód!« zawołał żywo Kellermann, i wyszedłszy spieszno, puścił się długim kurytarzem. Ciężkim, tętniącym krokiem szedł za nim, z siekiérą na ramieniu, mężny orszak brodaczów.

»Czy tutaj?« zapytał jenerał, wszedłszy do pokoju, który nam rozmową hrabiny z Armandem już znany.

»Tutaj, mój jenerale!« odrzekł uradowany Vautré; »jeżeli się nie mylimy, zdało nam się, żeśmy głos słyszeli —«

»Do dzieła dziatki!« zawołał Kellermann; a potężne siekiéry wpiły się z trzaskiem w taflową posadzkę.

»Jużem przerąbał!« wykrzyknął po niejakiéj chwili stary saper; orszak wstrzymał się z podniesionémi w górę toporami, a — głośne: *»Vive l'Empereur!«* wybiło się z głębi sklepienia —

»To on!« wrzasnął Vautré, i chcąc ukryć radość, która mu oczy łzami zalała, tak szkaradnie twarz wykrzywił, że się jenerał mimochętnie zaśmiać musiał. »Poznałem go po głosie! Do siekiér, waleczni chłopcy!«

W kilku chwilach już był otwór széroki.

»Spuśćcie mi powróz! albo podajcie drabinę!« zawołał Armand do góry. Nie długo trwało już ją grenadyjerowie przynieśli. Kellermann, Vautré i cała hurma żołniérzy spuściła się w głąb podziemnego sklepienia.

Armand, w zbytku zachwycenia, rzucił się niemo na szyję przyjaciela. Po twarzy kapitana potoczyły się duże krople łez i skryły się w gęstwinie wąsów.

Towarzystwo wojskowe zwiédzało przy gorejących pochodniach sklepiste podziemia, które już czytelnikowi są znane.

Jenerał wziął z sobą Armanda do zamku. Cesarz słuchał pilnie opowiadania młodzieńca; poczém zwróciwszy się do Józefa, rzekł: »*Escoiquiz* prawdę mówił! to będzie zła wojna!« Zamyślił się na chwilę; ale wkrótce przybrał weselszą minę, i odprawił przyjaźno Armanda. —

Jeszcze téjże samej nocy był Vautré naleganiem swego ulubieńca zniewolony opowiedzieć dokładnie, jakim sposobem otrzymał wiadomość o niebezpieczństwie, w którém tenże zostawał. Coraz bardziéj przekonywał się młodzieniec, że Teresa piérwszą była, która dała odzew do jego ratunku. To przekonanie wiodło za sobą i to drugie, że był kochany; a ten pomysł, nagradzał mu wszystkie cierpienia.

»Będęż ją widział kiedy? Czyliż groźba hrabiny zaślubienia ją drugiemu spełnioną zostanie?« Te zapytania nie pokoiły Armanda nie ustannie. Jakże był uradowany, powziąwszy wiadomość o wydanych rozkazach zabiérania się w pochód do Madrytu!

(Dokończenie nastąpi.)

W KARCZMIE.

Naśladowanie z rękopisma łacińskiego
z wieku 12go.

Winem, tylko winem dusza się rozgrzéwa,
Duch winem zagrzany wznosi się do nieba;
Wolę wino w karczmie gdy przyjaźń naléwa,
Niźli kwas w salonie, gdzie się kłaniać trzeba.

Jakie wino piję, takie wiérsze robię,
Ono ducha mego rozbiéra na stopnie;
Wszak każdy poeta — tak wnoszę po sobie,
Wtedy dobrze pisze, gdy się dobrém kropnie!

Każdemu przyroda coś dała w udziele,
Jam, na przykład, trzéźwy nic nie stworzył jeszcze;
Ale jeźli sobie porządnie podchmielę,
Wtedyto natchnienia unoszą mię wieszcze.

Wtedyto Pegaza śmiało dosiaduję,
Do muz najpiękniéjszéj w komplementa gonię;
I u stóp jéj leżąc poziomu nie czuję,
Bo mi w głowie wino, w sercu miłość płonie.

W karczmie gdzieś umiérać przedsięwziąłem sobie,
Bo chcę piany tęgo przemknąć w żywot wieczny,
Bym, gdy anioł w trąbę zagrzmi na mym grobie,
Stanął jak poeta na sąd ostateczny.

BOŁOŻ.

TOWARZYSTWO
KU WSPARCIU UBOGICH LITERATÓW.

W Londynie istnie towarzystwo, którego zamiarem jest wspiérać ubogich literatów. Podobnych towarzystw nié ma jeszcze w innych krajach, gdzie jednak tyle jest ubogich autorów! Pan Chateaubriand, będąc posłem w Londynie, przesłał sto luidorów kasie tego towarzystwa literackiego. Suma ta przewyższała o wiele zwyczajne dary. Z powodu téj hojności zaproszono posła na ucztę, którą towarzystwo corocznie dawało, a gdzie zaproszonych było także wiele znakomitych osób, i między témi minister Canning. Przy końcu uczty wzniesiono toast za zdrowie pana Chateaubrianda i podziękowano mu delikatnym sposobem za dar jego, imieniem biédnych autorów. Chateaubriand chciał się wywzajemnić i powstał; ale że mu z trudnością przychodziło w obec takiéj publiczności po angielsku się wysłowić, więc prosił obok siebie siedzącego, pana Canning, ażeby mu pomógł w téj sprawie, a który oświadczył imieniem posła: że tenże nic właściwie nie dał, i że tylko dług dawny zapłacił, ponieważ sam podczas piérwszego pobytu swojego w Anglii wspiérany był kilkakrotnie od tego towarzystwa, jako obcy autor; oddaje zatém tylko co winien, jako brat braciom, i do niego właściwie należałoby dziękować. — Wystawmy sobie tę scenę na onéj uczcie: Chateaubriand, poseł Francyi, w obecności nie jednego z najpyszniéjszych reprezentantów dumnéj arystokracyi angielskiéj, rozpina swój złotem haftowany i orderami okryty mundur i pod nim pokazuje stary podarty frak ubogiego autora z roku 1802; obok niego zaś siedzi Canning, ów piérwszy minister Anglii, ten sam Canning, który nie wstydzi się tego, że niegdyś także, jako literat, był od tego towarzystwa wspiérany. Zaiste! byłato prawdziwie wzniosła, prawdziwie rozczulająca scena!

ZDARZENIE Z ŻYCIA DOM PEDRA.

Jeden z dzienników angielskich opowiada, że gdy dom Pedro był jeszcze cesarzem Brazylii i znajdował się razu jednego na operze w Rio-Janeiro, jakaś dama w grubéj żałobie przecisnęła się aż do jego loży i rzuciła mu do się nóg. Opowiedziała mu: że wypadki nadzwyczajne przywiodły ją z bogactwa do największéj nędzy. Mąż jéj uwięziony w Portugalii, w Oporto, zabrano mu wszystkie dobra. Miała jednego syna przy sobie, ale ten poległ nie dawno w służbie brazylijskiéj. Upłynionéj nocy otrzymała tę smutną wiadomość, i téjże saméj nocy okropny pożar zniszczył dom jéj, przyczém najmłodsze jéj dziecko w płomieniach zginęło. Dom Pedro starał się pocieszyć proszącą: »Wszyseyśmy, moja pani,« rzekł, »przeznaczeni na tym świecie znosić nieszczęścia; trzeba więc podwójną uzbrajać się odwagą, gdy nas jakie przygody zaskoczą. Jednakże czasem i przez najposępniéjsze chmury przebija się słońce.« Obróciwszy się potém do jednego z swoich szambelanów, rzecze: »Daj wćpan téj pani wszystkie pieniądze, jakie masz przy sobie.« Szambelan, który właśnie kilką godzinami wprzódy grał szczęśliwie; miał przy sobie 600,000 frank. w banknotach. Z początku wahał się dać wszystko proszącéj damie; musiał jednakże wykonać, co mu rozkazano. Dom Pedro, dowiedziawszy się nazajutrz, jaki dar, nie wiedząc o tém, uczynił damie; gniewał się mocno, ale musiał poprzestać na tém, co się już stało. Gdy poźniej wylądował do Oporto na czele wojska wybawczego; jedna dama wyszczególniała się pomiędzy ludem głośną radością i uniesieniem. W kilka dni po tém dostał z nieznajoméj ręki 12,000 dollarów— jako podziękę od damy, którą niegdyś wsparł tak hojnie w Rio-Janeiro. Tak więc, kiedy żona tym sposobem starała się dom Pedrowi wywiązać z długu; mąż jéj poległ, bijąc się z jego przeciwnikiem na czele kompanii konstytucyjonistów, a dwaj ostatni synowie jéj wstąpili do szeregów wojska wybawczego, lubo do służby wojskowéj za nadto jeszcze młodzi byli.

— Ze Lwowa. —

Z drukarni Piotra Pillera wyszedł zeszyt czwarty **Śmiészka**, wydawanego przez Juliana A. Kamińskiego.

Dowiadujemy się, że w księgarni Wilda można za 4 złr. 30 kr. m. k. nabyć wydanego we Wrocławiu dziełka niemieckiego, które dla zachowania tajemnicy jest zapieczętowane i ma zawiérać *arkanum* dla gorzelników, za pomocą którego mogą trzy razy więcéj produkować wódki, jak dotąd przypuszczał znany system Gaała i Schneefussa, podług których z korca kartofli można mieć, nie licząc słodu, 22 kwart polskich szumówki 20go stopnia, a z korca zboża 44 kwart takiéjże wódki. Przytoczywszy podanie to jako osobliwość, ocenienie onegoż znawcom zostawiamy.

Anegdota z życia Grzegorza Piramowicza. Znany w swoim czasie prawodawca wymowy, uczony ks. Grzegorz Piramowicz, pisywał w młodości ładne wiérszyki i z wielką łatwością, a ponieważ był dobry i uczynny, naprzykrzano mu się często o poezyje na imieniny, urodziny, lub inną jaką uroczystość. Raz przyszedł do niego młodzieniec i prosił o wiérsze. »A na kiedy?« spytał Piramowicz. »Na jutro?« — »O mój paniczu, tak nagłego obstalunku podjąć się nie mogę.« — »Dla czego?« — »Piérwszy czeladnik mi zachorował.« — »Któż taki?« — »Koncept.« — I od tego dnia przestał wiérsze pisywać. Uczony ten był wielkim nieprzyjacielem poźnych obiadów. Urodził się z familii ormiańskiéj we Lwowie r. 1735, umarł d. 29. grudnia r. 1801. Umieszczamy wspomnienie o nim w stuletnią jego urodzenia rocznicę. (O życiu i pismach jego obacz dzieła panny Tańskiéj, teraźniejszéj Hofmannowéj.)

Oto są świeżo wyszłe w Warszawie pisemka polskie: *a)* Kodex gotowalniany; *b)* Nowy Abelard, czyli pierwsza miłość. Wyszły także dwa »Kalendarzyki polityczne« pp. Radziszewskiego i Netta.

Wydawane przy Gazecie Krakowskiéj Rozmaitości przestały od nowego roku wychodzić.

W Wilnie wyszła część trzecia pisma: Wizerunki i roztrząsania naukowe i zawiera artykuły następujące: O duchu muzyki z *Revue encyclopedique;* O Emanuelu Kancie, z dzieła L. F. Schöna *Philosophie transcendentale;* Wieczory literackie, albo poeci między sobą, z *Critiques et portraits literaires par C. A. Sainte-Beuve;* O stanie obecnym literatury czeskiéj. — Rozmaitości literackie tego pisma obejmują między innemi zdanie o Noworocznikach polskich na r. 1834, między któremi recenzent przyznaje widocznie piérwszeństwo naszéj Ziewonii. Powtarzamy, co mówi w ogóle o Noworocznikach: »Rzecz byłaby pożądana, aby wydawanie u nas Noworoczników w stały się zamieniło zwyczaj. Mogą one choć w części zastępować nader szczupłą liczbę pism peryjodycznych, literaturze poświęconych. Przy tém miło jest porównywać z sobą według rozmaitych względów owe plony po różnych stronach uzbiérane, i składające niejako umysłową każdéj z nich reprezentacyją. Z pociechą dowiadujemy się, iż Znicz na r. 1835 już się znajduje pod prasą i wkrotce wyjdzie na jaw, i że się gromadzą materyjały do Noworocznika Białoruskiego. Z czasem Kraków, Poznań i Petersburg, w których się drukują pisma peryjodyczne i książki polskie, zechcą pismami tego rodzaju zbogacić polską literaturę.« — Spodziéwać się należy, iż Lwów w tym względzie nie pozostanie ostatnim.

Ostatni zeszyt wychodzącego w Petersburgu »Dziennika ministerstwa oświécenia« zawiera nader ciekawą wiadomość o pracach naukowych, już to dokonanych, już to dokonywających się, już rozpoczętych przez nauczycieli publicznych w rozmaitych zakładach, zostających pod wiedzą ministerstwa oświécenia. Wiadomość ta powziętą została ze sprawozdań 1833 roku. Dowiedzieliśmy się z niéj, że pan Artemowski Hułak, profesor historyi w charkowskim uniwersytecie, przekłada na język rossyjski Historyją polską Naruszewicza; pan Prawicki, adjunkt uniwersytetu charkowskiego, Naukę o atmosferze z dzieła »Kurs roczny fizyki przez Drzewińskiego, Wilno 1833;« a pan Kurhanowicz, nauczyciel języka polskiego w instytucie pedagogicznym w Petersburgu, ukończył Polską Gramatykę, któréj część analityczna drukowała się w Wilnie. (T. P.)

Wyszło w języku rossyjskim dzieło Mikołaja Samojłowa, pod nazwą: »Powstanie, świetność, sława, wielkość, upadek i odrodzenie się Kijowa. Z historyczném opisaniem dwóch istnących dotąd kościołów chrześcijańskich, z ich rysami i planami.«

Podług rossyjskiéj »Pszczoły północnéj« wydobyto w piérwszéj połowie roku zeszłego z gór uralskich:

złota . . .	167 pudów,	4 funt.	3 3/4 sołot.	
platyny . .	56 —	9 —	65 96/100 sołot.	

Kopalnia w Niżnej-Tagil, własność sukcesorów radzcy stanu Demidowa, ciągle najwięcéj platyny dostarcza; albowiem z powyższéj summy na nią jedne tylko przypada 55 pud. 15 funt. i 78 5/8 sołot.

D. 22. grudnia wieczorem widziano koło Królewca piękną zorzę północną z promieniami; o godzinie 5téj wzbiła się do wysokości gwiazdy polarnéj. (I w Berlinie widziano wyraźnie tę zorzę, lubo przez czas długi gęstémi obłokami okrytą była.)

W dodatkach do *Allgemeine Zeitung* ogłasza pewien bezimienny młody człowiek, że ma zamiar żenić się. Na towarzyszkę życia szuka młodéj niewiasty z nieposzlakowaną reputacyją, z dobrém sercem i wychowaniem. Maleńki jednak kładzie warunek, ażeby jego przyszła miała 8,000 złr. m. k. posagu. Kobiety, chcące z tym jegomością wchodzić w związki dozgonne, mogą się zgłosić do Stuttgardu, do expedycyi wzmiankowanéj gazety.

W zeszłym numerze Rozmait. naszych wspomnieliśmy o wielkiém archiwum w Wenecyi; teraz do owych wiadomości dodajemy jeszcze następujące szczegóły: Archiwum to złożone jest, jak się rzekło, w 298 salach i gankach. Gdyby półki, na których księgi leżą, rozstawiano pojedynczo i w prostym kierunku; formowałyby liniją 77,238 stóp. Gdyby 1000 pisarzy pracowało codziennie po ośm godzin nad kopjowaniem tych dokumentów; potrzebowaliby do ich przepisania 734 lat, albo 22 pokoleń. Podług mniéj więcéj pewnego obliczenia zajmuje archiwum to, składające się z 8,664,709 tomów albo zeszytów (licząc na jeden zeszyt 80 kart), razem kart 693,176,720. Te karty (przypuszczając szérokość jednéj na 9 calów) położone tylko rzędem, podług szérokości swojéj, okryłyby liniją 1,444,800,000 stóp! Ale ponieważ największa objętość ziemi naszéj (pod równikiem) tylko 123,345,700 stóp paryzkich zajmuje; więc karty te (jedna do drugiéj posklejane) mogłyby tym sposobem jedénaście razy opasać ziemię!!

Włochy mają w tym czasie 143 pism czasowych, treści niepolitycznéj.

Alexander Dumas ma zamiar, łącznie z Julijuszem Janin i Julijuszem Lecomte, odbyć podróż do Morza Śródziemnego, a potem wydać dzieło, pod tytułem: »Morze Śródziemne i jego brzegi.« Piérwsze wydatki na to przedsięwzięcie literackie mają wynosić 300,000 frank. Dumas i Lecomte zbiérają poprzednio meteryjały, lecz nie doszli daléj jeszcze, jak do Awinionu. Malarz krajowidów Jadin podjął się robienia rysunków do tego dzieła i będą one posłane do Londynu, dla odrytowania przez tamtejszych artystów. Spodziéwamy się czegoś wielkiego po tém dziele. — Piérwsze zeszyty mają wyjść w bieżącym miesiącu styczniu.

Dnia 30. listopada r. z. dawało 50 głuchoniemych ucztę w Paryżu, na cześć urodzin księdza de l'Epée, wielkiego dobroczyńcy téj klasy nieszczęśliwych. Przewodniczył pan Berthier, sam głuchoniemy i profesor przy kr. szkole głochoniemych. Miał on mimiczną, wszakże tylko od głuchoniemych zrozumiałą mowę, która na nich głębokie wrażenie uczyniła. Tymże mimicznym sposobem wzniesiono także wiele toastów.

Dziennik *Courrier de Lyon* pisze: Od niejakiego czasu mówią ciągle w St. Claude i Jura, we Francyi, o pewnym ubogim tokarzu, który w polanie drzewa, wytaczanego na kręgiel, znalazł dyjament niezwyczajnie duży, ceniony od juwilierów najmniéj na 500,000 frank. Wnioskują, że ten dyjament musiał zaszczepionym być umyślnie w drzewo i włożony w zrobiony w niém otwór,

gdy takowe pięć lub sześć lat miało; to się potém zrosło i podług teraźniejszego stanu drzewa tego, zdaje się, że w 30tym roku ścięte było. Przeto drzewo to mieściło w sobie przez lat 24 skarb tak drogi. Ten dyjament byłby wart daleko więcéj jeszcze, gdyby nié miał na sobie lekkiéj żółtéj plamy, pomniejszającéj wartość jego.

Rybak z St. Valery nad Sommą, we Francyi, złowił w sieć rybę owego szczególnego rodzaju, który starożytni Syrenami nazywali. Jestto rodzaj morskiego cielęcia, którego głowa i piersi mają postać ludzką, a które, gdy w połowie ciała podniesie się na wodzie, ma wiele podobieństwa do kobiéty. Posłano tę rybę do Paryża, do muzeum historyi naturalnéj, i jest nadzieja, że się tam żywa dostanie.

Najciekawszémi figurami ostatniego jarmarku w Marsylii byli bezprzecznie Beduini z Algieru, przybyli rodzinami, od siwego dziada, aż do wnuka. Ubiorem mężczyzn była suknia spodnia z materyi czarnéj, lub brudnopstréj, w połowie odsłaniająca nogi. Z wiérzchu byli odziani dużémi płachtami z białego płótna, które jak płaszcz całe ich ciało okrywały. Służą one im także za osłonę od słońca i deszczu, a w nocy śpią na nich rozesławszy je na gołéj ziemi. Na nogach mieli bóciki skórzane, a na głowie brudne turbany. Dwa długie ładne pukle włosów, spadające po obu stronach szyi, były jedyną ozdobą ich toalety. Wzrostem nie wyszczególniali się i tylko długie brody nadawały im postać wspaniałą. Kobiéty tak prawie ubiérały się, jak mężczyźni. Miały krótkie pstre spodniczki, a na tych szérokie białe płaszcze, które zarzucały na głowy, jak Hiszpanki swoje mantylle.

Arabowie noszą na ogolonéj głowie długie kosmyki, podobne do ogona łani. Sądzą bowiem, że anioł po śmierci pociągnie ich za te kosmyki do raju.

Podczas gdy Beduini bawili Francuzów w Marsylii, przybył do Londynu naczelnik Indyjanów Muck E. Wamponiga, z żoną, siostrą, z trzema wojownikami plemienia Chippeway i z tłumaczem.

Pewny dziennik pisze, że lord Grey zamyśla wydać pamiętniki o swojém życiu, czynnościach swoich i czasie, w którym żyje.

Porucznik Allen, który Landrowi w ostatniéj podróży do Nigru towarzyszył, ofiarował towarzystwu jeograficznemu w Londynie mappę téj rzéki z sześciu kart złożoną i drugą mniejszą, złożoną z jednéj karty.

Pod kierunkiem pana Philipps zrobiono nie dawno w Anglii machinę parową, która do rolnictwa ma być użytą. Takowa za jednem obróceniem się w koło nie tylko na proch rozciéra ziemię, ale zarazem zrównywa skibę, zasiéwa i zawłócza, a to na przestrzeni 10 do 12 stóp. Odbywa w godzinie 4 do 5 mil angiel.; może zatém 7 do 8 morgów pola w godzinie zorać i obsiać, a więcéj jak 100 morgów w dniu jednym. — Mechanizm ten wkrótce zapewne naśladowany będzie.

Włości sycylijskie. »Z Sycylii (opowiada pewien podróżnik) udaliśmy się drogą do Scudari. Jechaliśmy piaskiem wzdłuż brzegów morskich; upał był nieznośny, tak że maczaniem chustki w morzu i przykładaniem jéj sobie do głowy, kilkakrotnie chłodzić się musiałem. Opuściwszy brzegi, jechaliśmy przez kilka włości, które miały chaty lepione z gliny. Mieszkańców płci obojéj widzieliśmy zatrudnionych w ogrodach i winnicach. Stare niewiasty, siedząc w grupach, przędły wełnę i rozmawiały z sobą jakimś nieprzyjemnym dyjalektem. Zaglądnąłem do kilku chat, rzadko one miały więcéj jak jednę izbę, a co do czystości, baraki Irlandyi są przy nich niemal pałacami. Podłoga była z ziemi ubita i w ogóle na cal błota leżało na niéj, jakto widujemy nieraz w czasach dżdżystych po ulicach Londynu. Na środku izby stała panew z węglami, na których gotowały się różne warzywa, w około ogniska leżały oście rybie, szczątki zgniłych owoców, jarzyn i śmiecie wszelkiego rodzaju, może od czterech miesięcy nie wymiatane. W kącie stało łóżko, czyściejsze jednak od innych sprzętów; nad niém wisiał krucyfiks, madonna, lub jakiś Święty. Pod łóżko zmiatają śmiecie z środka izby, i to tak długo tam leży, dopokąd się w wielką nie uzbiéra kupę, i dopiéro wtedy wymiatają je, ażeby dla nowego śmiecia miejsce uprzątnąć. W tych więc pełnych nieczystości kuczach siedzą, albo raczéj gniotą się razem mężczyzni, kobiéty, dzieci, kozy, koty, psy, gołębie, a czasem nawet osły. Wioski bliżéj brzegów morza położone są jednak lepiéj budowane i znajdzie więcéj ochędóstwa między ich mieszkańcami. *(Metropolitan.)*

Spożycie różnych artykułów w Europie. W roku 1750 wprowadzono do Europy 600,000 cetnar. kawy, roku 1788 już 1,500,000 cet. Na północy wychód herbaty przewyższał wychód kawy. R. 1730 wprowadzono do wszystkich portów europejskich 3,000,000 funt. herbaty, r. 1780 przywóz tego artykułu zbytkowego pomnożył się w stosunku 12 do 1, a od tego czasu do r. 1809 wzrastało spożycie herbaty w stosunku 11 do 5. Roku 1730 wprowadzono do Europy cukru 1,450,000 cet., albo 240,000 beczek, r. 1815: 5,941,000 cet. czyli 297,050 beczek, a w roku następnym więcéj o 586,000 cet. czyli 29,300 beczek. Wychód tytoniu jest także bardzo znaczny w Europie, i we Francyi można go liczyć na milijon ludzi 273,000 funt. W Anglii zaś 845,000 funt. W Anglii milijon mieszkańców potrzebuje rocznie 63,000 hektolitrów wódki, a 135,000 hekt. piwa. Wartość wypotrzebowanego piwa wynosiła w Anglii r. 1831, 2,500,000 funt. szterl. R. 1827 wypędzono w Prusiech 125,000,000 kwart. wódki. W Szwecyi tak wielką ilość pędzono mocnych trunków, że z tego powodu przez cały r. 1832 zakazano było pędzić wódkę. W Danii jest 3,000 gorzelników, tak, że jeden na 600 mieszkańców przypadnie. Do tego jeszcze sprowadzają tam z zagranicy 80,000 beczek wódki. *(Le Réformateur.)*

Myśl. Pełna, roskoszna centyfolija, będąc w najpiękniejszym kwiecie, wydaje mi się, jak piękna, cnotliwa dziewica. Listki kwiatu róży wyobrażają wszystkie wdzięki i cnoty dziewicze. Jeźli centyfolii jednego tylko nie dostaje listka, już jéj piękność nie jest doskonała, kwiat nie jest zupełny, słabo się trzyma i powoli wszystkie swoje listki uroni. Tak gdy dziewicy brakuje jednéj tylko cnoty, jednego powabu z prawdziwych zalet niewieścich; już cały system chwiać się zaczyna. Już ona nie jest taką, jaką była, i nigdy nią więcéj nie będzie.

Muzykalne bydło. Pewien krawiec angielski, który z wielką biegłością grywa na skrzypcach, wracał nie dawno z jarmarku w Dalton, gdzie się sztuką swoją popisywał. Szedł właśnie przez pole, a w tém ujrzał, jak ku niemu napędził się rozjuszony buhaj. Strwożony krawiec chciał schronić się na drzewo, ale nie mógł tego prędko wykonać. Gdy tak w rozpaczy bidził się myślami, razem przychodzi mu szczęśliwy pomysł doświadczenia czarodziejskiéj władzy muzyki. Zaledwo buhaj usłyszał głos skrzypców, stanął jak wryty, i zdawał się być rozczulonym. Krawiec chciał korzystać z chwilowego wzruszenia przeciwnika swojego i drapnąć, ale zaledwo tylko zamilkł głos skrzypców, już i buhaj do dawnéj powrócił wściekłości. Biedny przestraszony wirtuoz musiał na nowo wziąć się drzącą ręką do smyczka; całe cztery godziny rzępolił w potach śmiertelnych i przez czas ten rogami uzbrojony tyran stał jak zaczarowany. Poźno dopiéro przybyli parobcy i uwolnili biednego krawca z tego przykrego położenia. *(Whitehaven Pacquet.)*

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.